



GRAHAM
MASTERTON
BIAŁE KOŚCI

Rozdział 1

John jeszcze nigdy nie widział tylu wron krążących nad farmą, ile zobaczył tego mokrego listopadowego poranka. Jego ojciec mawiał, że jeśli ktoś zobaczy ich więcej niż siedem naraz, może być pewien, że przyleciały napawać się ludzką tragedią.

Tragiczna była także pogoda. Przed świtem na Nagle Mountains spadł ulewny deszcz i północno-zachodnie pole było tak grząskie, że na jego zaoranie John stracił ponad trzy godziny. Właśnie zawracał traktorem na najwyżej położonym rogu pola, tuż przy zagajniku zwanym Las Iollana, kiedy zobaczył Gabriela, stojącego w bramie i gorączkowo wymachującego rękami.

John także mu pomachał. Jezu, czego ten idiota znowu chce? Prace, które zlecił się Gabrielowi, lepiej było od razu wykonać samemu, bo wciąż się dopytywał, co ma robić dalej, jakich użyć śrub i gwoździ, jakie drewno będzie najlepsze. John nie przerywał orania. Spod kół traktora wyskakiwały wielkie pacyny kleistego błota; grzęznąc w nim, Gabriel szedł ku Johnowi w górę pola, wciąż wymachując rękami. Wrony natarczywie latały nad nim i wokół niego. Bez wątpienia krzyczał, chociaż John nie słyszał ani słowa.

Kiedy zadyszany Gabriel, w starym, postrzępionym tweedowym ubraniu i gumowcach, wreszcie do niego dotarł, John wyłączył silnik i zdjął z uszu ochraniacze.

– Co się znów stało, Gabe? Czyżbyś zapomniał, który koniec szpadła należy wbijać w ziemię?

– Tam są kości, John. Kości! Tyle pieprzonych kości, że nie sposób ich wszystkich policzyć!

Wierzchem dłoni John otarł z twarzy krople deszczu.

– Kości? Gdzie? Jakie kości?

– Pod ziemią, John! Ludzkie kości! Chodź i zobacz sam! Całe to miejsce wygląda jak pieprzone cmentarzysko!

John zszedł z traktora i od razu pogrzyżył się po kostki w błocie. Z bliska Gabriel śmierdział zwietrzałym piwem. Mimo że bardzo się starał jak najlepiej ukrywać puszkę murphy’ego pod stertą worków w głębi stodoły, John dobrze wiedział, że pije podczas pracy.

– Kopaliśmy fundamenty niedaleko domu, kiedy chłopak powiedział, że coś jest w ziemi. Zaczął grzebać palcami i zaraz potem wyciągnął ludzką czaszkę z oczodołami wypełnionymi piachem. Pogrzebaliśmy jeszcze trochę i trafiliśmy na następne cztery czaszki i kości, jakich nigdy nie widziałeś... nóg, rąk, palców, a nawet zebra.

John poczłapał w kierunku bramy. Był wysoki i ciemny, miał gęste czarne włosy i niemal klasyczną hiszpańską urodę. Wrócił do Irlandii zaledwie przed rokiem i prowadzenie farmy wciąż sprawiało mu trudność. Pewnego majowego poranka zamykał właśnie drzwi mieszkania przy Jones Street w San Francisco, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał głos matki. Poinformowała go, że ojciec miał ciężki zawał. Po dwóch dniach zmarł.

Nie zamierzał wracać do Irlandii, a tym bardziej przejmować farmy. Matka uznała jednak, że tak właśnie musi postąpić jako najstarszy syn swojego ojca, a liczni wujowie, ciotki i kuzyni powitali go tak, jakby właśnie został głową rodziny Meagherów. Poleciał jeszcze raz do San Francisco, tylko po to, żeby sprzedać swoją firmę zajmującą się medycyną alternatywną, oraz pożegnać przyjaciół. Tak oto się tu znalazł i właśnie przekraczał w gęstym deszczu bramę farmy Meagherów.

– Powiedziałbym, że to było masowe morderstwo – wysapał cuchnący piwem Gabriel, który deptał mu po piętach.

– Cóż, zobaczymy.

Główny budynek posiadłości był duży, przestronny, miał zielone ściany i szary spadzisty dach. Po jego południowo-wschodniej stronie rosło sześć czy siedem bezlistnych wiązów, przypominających grupkę zakłopotanych osobników mających właśnie wejść do kąpieli. Opadający stromo podjazd wiodł do drogi prowadzącej do Ballyhooley na północy i Cork, osiemnaście kilometrów na południu. John przeszedł przez zabłocony, choć wyasfaltowany dziedziniec i zbliżył się do północnej ściany budynku, gdzie Gabriel i chłopak o imieniu Finbar rozebrali już starą przegniłą spizarnię i rozpoczęli wykopy pod fundamenty nowoczesnej wylęgarni kurcząt.

Oczyścili kawałek gruntu mniej więcej cztery na cztery metry. Ziemia była czarna, surowa, unosił się nad nią wyraźny kwaśny odór torfu. Finbar stał w pewnej odległości od wykopu i z ponurą miną żalobnika ścisnął szpadel. Był chudym chłopakiem o bladej twarzy, krótko ściętych włosach i odstających uszach. Miał na sobie przemoczony szary fartuch roboczy.

Przed nim na ziemi leżały cztery ludzkie czaszki. Widok przywodził na myśl najbardziej koszmarnie fotografie wykonane w Kambodży w okresie rządów Pol Pota. Bliżej mokrej otynkowanej ściany budynku widniała dziura, a w niej mnóstwo zabłoconych ludzkich kości.

John pochylił się i popatrzył na czaszki, jakby spodziewał się z ich strony jakichś wyjaśnień.

– Boże wszechmogący! Muszą tu leżeć już bardzo długo. Na żadnej nie ma nawet skrawka ciała.

– Powiedziałbym, że to nieoznaczony grób – zauważył Gabriel. – Grupa ludzi, którzy w przekonaniu IRA stanęli po złej stronie.

– Wystraszyłem się jak jasna cholera – powiedział Finbar, ocierając rękawem nos. – Kopałem, kopałem i nagle ta

czaszka... Uśmiechnęła się do mnie jak mój stary wujaszek Billy.

John złapał długi żelazny pręt i zaczął dźgać nim ziemię pomiędzy kośćmi. Ujrzał żuchwę, część klatki piersiowej i kolejną czaszkę. Zatem pogrzebano tutaj przynajmniej pięć osób. Mógł zrobić tylko jedno: zatelefonować do Garda Síochána.

– Chyba nie sądzisz, że twój ojciec o tym wiedział? – zapytał Gabriel, kiedy John ruszył w kierunku domu.

– Co ty sobie myślisz? Oczywiście, że nie wiedział.

– Hm, twój ojciec był znanym zagorzałym republikaninem. John zatrzymał się i popatrzył mu w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Niczego nie chcę powiedzieć. Jeśli jednak pewni ludzie szukali miejsca, aby ukryć jakieś zwłoki, tak żeby nikt ich nigdy nie znalazł, a twój ojciec miał wobec nich jakieś zobowiązania... Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

– Och, daj spokój, Gabrielu. Mój ojciec nie pozwoliłby na zakopywanie zwłok na terenie swojej posiadłości!

– Nie byłbym tego taki pewien. Kiedyś coś już tu zakopano na pewien czas, pod oborą.

– Mówisz o broni?

– Mówię o tym, że będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli zapomnimy o tym, co dzisiaj znaleźliśmy. W końcu ci ludzie są już martwi i pogrzebani, po co więc im przeszkadzać? Twój ojciec też nie żyje, jego także pochowano. Chyba nie chcesz, żeby teraz ktoś próbował zbezcześcić jego dobre imię, prawda?

– Gabe, to są ludzie, na miłość boską! – odparł John. – Jeśli wszystko przemilczymy, kilka rodzin nigdy się nie dowie, gdzie się podziiali ich synowie i mężowie. Czy potrafisz wyobrazić sobie coś gorszego?

– Pewnie masz rację. Wciąż jednak jestem przekonany, że pakujesz się w kłopoty, a przecież nie ma ku temu żadnego szczególnego powodu.

John wszedł do domu. Panował tu ponury półmrok. W

powietrzu, jak zwykle o tej porze roku, czuło się wilgoć. Ściągnął buty i w małej łazience przy sieni umył ręce. Następnie skierował się do wielkiej kuchni z kamienną posadzką, gdzie matka przygotowywała wypieki. Ostatnio wydawała mu się bardzo drobna. Miała białe włosy, pochylone plecy i jakby wypłowiałe, blade oczy. Przesiewała mąkę, żeby upiec kruche ciastka do herbaty.

– Skończyłeś orkę, John? – zapytała.

– Niezupełnie. Muszę zadzwonić.

Zawahał się. Wyczuła to i popatrzyła na niego, unosząc brwi.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście, mam. Muszę zatelefonować, nic więcej.

– Chciałeś mnie o coś zapytać. – Wciąż była bardzo bystra.

– Zapytać? Nie, o nic się nie martw.

Jeśli ojciec rzeczywiście się zgodził, żeby IRA zakopała zwłoki na terenie jego posiadłości, wątpliwe, by konsultował to z matką. Coś, o czym nie wiesz, nigdy nie nawiedzi cię przecież w sennym koszmarze w środku nocy.

Wszedł do salonu, w którym meble pokryte były gobelinami, a na jednej ze ścian stał wielki kominek z czerwonej cegły. Płomienie z cichym trzaskiem trawiły trzy wielkie kłody drewna, a Lucyfer, potężny labrador, leżał na dywanie z nieprzyzwoicie rozłożonymi łapami. John podniósł słuchawkę staromodnego czarnego aparatu i wykręcił numer 112.

– Halo? Proszę mnie połączyć z Gardą. Chciałbym rozmawiać z kimś ważnym. Tak. Mówi John Meagher z Knocknadeenly. Właśnie wykopaliśmy ludzkie szczątki.

Rozdział 2

Kiedy Katie Maguire zajechała srebrnym mondeo na farmę Meagherów, deszcz padał jeszcze mocniej. Z zadowoleniem odnotowała, że detektyw inspektor Liam Fennessy jest już na miejscu. Byli także dwaj inni detektywi i trzech czy czterech funkcjonariusze zmagający się z podmuchami wiatru przy ustawianiu osłony z niebieskiego plastiku.

Wysiadła z samochodu i podniósłszy kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego, przeszła przez podwórze. Liam stał nad otwartym grobem. Ręce trzymał w kieszeniach długiego brązowego płaszcza w jodełkę i nie zwracając uwagi na deszcz, palił papierosa. Detektyw Patrick O’Sullivan drżał z zimna w lekkiej wiatrówce, wpatrując się w kości z udawanym zainteresowaniem, a detektyw sierżant Jimmy O’Rourke stał przy ścianie pod daszkiem i rozmawiał z Johnem Meagherem.

– Dzień dobry, pani komisarz – powiedział Liam. Był chudy, miał zapadnięte policzki i jasne włosy, które zaczesywał do tyłu i nacierał brylantyną. Szklą jego okrągłych okularów w drucianej oprawie naznaczone były kroplami deszczu. – Zdaje się, że mamy tutaj trochę kości do wygrzebania.

– Ile czasu minie, zanim przyjadą technicy?

– Myślę, że jakieś pół godziny. A szanowny doktor Owen Reidy pojawi się jutro z samego rana. Reidy Rozpruwacz.

Facet zrobiłby człowiekowi z dwunastnicy wytworny naszyjnik, zanim ten zdążyłby wydać ostatnie tchnienie.

Katie nie uśmiechnęła się.

– Rozmawiałeś z nadinspektorem O’Connelllem z Nass?

Jerry O’Connell dowodził operacją Ślad. Trwała ona już dziewięć lat, podczas których bezskutecznie poszukiwano ośmiu młodych kobiet. Wszystkie zniknęły bez śladu we wschodnich hrabstwach Irlandii.

– Tak, przekazałem mu wiadomość – odparł Liam.

Katie powoli okrążyła wykop, próbując odkryć jakiś porządek w ułożeniu kości. Miała wrażenie, jakby ktoś wystrzelił je w powietrze i pozwolił opaść bezładnie na ziemię. Zobaczyła przynajmniej trzy miednice, dwie klatki piersiowe i niezliczone fragmenty kręgosłupa.

Podszedł do niej sierżant O’Rourke, niski mężczyzna o włosach koloru piasku i niemal kanciastej głowie.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem, proszę pani, tylko na obrazie u ojca Francisa w kościele Świętego Michała. Przedstawia niebo na górze i piekło na dole. Tak właśnie wygląda piekło: mnóstwo szkieletów bezładnie rzuconych na kupę.

– Czy to jest John Meagher? – Katie wskazała głową.

– Tak, to on. John, poznaj panią komisarz Kathleen Maguire. Poprowadzi dochodzenie.

John wyciągnął do niej rękę.

– Aha, rozumiem. Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że...

– Garda Síochána jest pracodawcą, który nie dyskryminuje kobiet – powiedziała bez uśmiechu.

– Wygląda na to, że natrafiliśmy na sześć szkieletów, a może nawet siedem – odezwał się sierżant O’Rourke. – Kevin doliczył się dotąd trzynastu stóp.

– Czy ma pan jakieś podejrzenia, albo może potrafiłby pan odgadnąć, jak to się stało, że pogrzebano tutaj te szczątki? – Katie zwróciła się do Johna.

Pokręcił głową.

– Nie mam żadnych podejrzeń. Żadnych. Prowadzę tę farmę od czternastu miesięcy. W tym czasie nikt nie mógł ich tutaj zakopać.

– A zanim przejął pan farmę?

– Należy do mojej rodziny od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Nie wyobrażam sobie, żeby mój ojciec zakopał tu jakieś zwłoki. Albo dziadek.

Katie pokiwała głową.

– Czy ktoś z zewnątrz ma tutaj swobodny dostęp? Na przykład jacyś najemni robotnicy, dzierżawcy? Może urlopowicze? Albo podróżni?

– Nie bywa tutaj nikt poza mną i Gabrielem oraz braćmi Ryanami, Denisem i Bryanem. Wykonują wszystkie prace, jakie są akurat do zrobienia. Jeszcze tylko Maureen O'Donovan pomaga mi przy mleku.

– Będę chciała z nimi porozmawiać.

– Jasne, oczywiście. Ale to wszystko jest bardzo tajemnicze, jeśli chce pani znać moje zdanie. Nie jestem ekspertem, wydaje mi się jednak, że ci ludzie nie żyją już od bardzo długiego czasu.

– Ma pan rację, John – przyznała. – Nie jest pan ekspertem.

John odczekał, aż Katie przejdzie na drugą stronę wykopu, po czym spytał sierżanta O'Rourke'a:

– Czy ona zawsze jest taka?

– Komisarz Maguire? O, tak. Nie ma w ogóle poczucia humoru, jeśli chodzi o zabójstwa. Nie widzi w nich nic zabawnego, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

John obserwował ją, jak chodzi, oglądając kości. Bardzo ładna kobieta, pomyślał. Nie wyższa niż metr sześćdziesiąt pięć, mniej więcej czterdziestoletnia, włosy koloru miedzi, głęboko osadzone zielone oczy i wydatne kości policzkowe. Aż chciało się porównać ją do irlandzkiej nimfy z którejś z baśni przekazywanych od wielu pokoleń. Ładna, lecz trochę zadziorna. Typ kobiety, za którą każdy mężczyzna się obejrzy, i to nie raz. Nagle uniosła głowę i złapała go na tym, że się jej przygląda. Szybko odwrócił wzrok, jakby przed

chwilą zrobił coś zakazanego. Bóg jeden wie, do jakiego stanu psychicznego by go doprowadziła, gdyby rzeczywiście wiedział, w jaki sposób szkielety znalazły się na jego farmie.

Po chwili ponownie do niego podeszła. W jej włosach lśniły krople deszczu.

– Może słyszał pan jakieś miejscowe opowieści o zaginionych osobach? Niekoniecznie odnoszące się do ostatniego okresu. Chodzi mi o coś, co pozwoliłoby nam chociaż mgliście przypuszczać, kiedy ci ludzie mogli zginąć.

– Niestety, nie mam czasu, żeby przysłuchiwać się miejscowym plotkom. Raz na jakiś czas wpadam do Ballyvolane i wypijam kilka drinków w Fox and Hounds. Dla miejscowych wciąż jednak jestem obcokrajowcem. Nic dziwnego, naprawdę. Nadal nie rozumiem akcentu z Cork.

– W porządku, John – powiedziała Katie. – Mam nadzieję, że nigdzie nie zamierza pan wyjeżdżać? Kiedy starannie obejrzymy znaleźisko, a patolog zbada szczątki, będziemy mieli do pana jeszcze kilka ważnych pytań.

– Jestem do usług.

• • •

Katie podeszła do samochodu i sięgnęła po telefon komórkowy.

– Paul? To ja. Jestem w Knocknadeenly. Tak, znaleźli tu ludzkie szczątki. Tak, wiem. Posłuchaj, wszystko wskazuje na to, że wrócę do domu późno. W lodówce jest pieczony kurczak od Marksa i Spencera. Włóż go do piekarnika, gaz nastaw na ósemkę. Tak. Potrafisz obierać ziemniaki, prawda? Dobrze, idź do pubu, jeśli chcesz, to twoja sprawa, tylko zjedz coś porządnego. Zadzwoń później.

Na farmę zajechała biała furgonetka techników Gardy. Katie wróciła do wykopu i czekała, aż nowo przybyli włożą stroje ochronne i gumowe buty. Patrzyła na stertę kości i zastanawiała się, do kogo mogły należeć. Zazwyczaj, kiedy przybywała na miejsce zbrodni, od razu było wiadomo, kto kogo skrzywdził i dlaczego. Widziała w życiu zakrwawione

noże w kuchennych zlewach, szare buzie uduszonych dzieci, także zwłoki dziewczyn uduszonych własnymi szalikami, leżące twarzami do ziemi w mulistych kanałach.

Tutaj miała jednak do czynienia z czymś zupełnie innym. Zdawała sobie sprawę, że dopóki się nie dowie, od jak dawna ci ludzie spoczywają w ziemi, wszelkie próby odgadnięcia, kto ich zamordował i dlaczego, będą nadaremne. Żadna z czaszek najwyraźniej nie została przedziurawiona kulą z pistoletu czy rewolweru. Gdyby tak było, Katie miałyby mocny dowód, że natrafiono na ofiary egzekucji politycznej albo zemsty jakiegoś lokalnego gangu.

Chociaż zamierzała poinformować o szkieletach zespół prowadzący operację Ślad, robiła to tylko ze względów formalnych. Wątpiła, by zwłoki miały cokolwiek wspólnego ze śledztwem nadinspektora O'Connella. Dziewczyny, których szukał, zniknęły jedna po drugiej niemal w ciągu dekady – ostatnia w lipcu 1998 roku. Tymczasem Katie od samego początku była przekonana, że ludzie, których szczątki właśnie odkryto, zostali pochowani jednocześnie.

Podszedł do niej Liam i zaproponował supermocny miętowy cukierek.

– Co o tym sądzisz? – zapytał. – Czy mógł to zrobić ojciec Meaghery?

– Nie dowiemy się tego, dopóki nie dojdziemy, kim byli ludzie, którzy zginęli, no i dlaczego.

– Chyba nie szukasz motywu, co? Rozejrzyj się tylko: jesteśmy w miejscu przeklętym przez Boga. Tutaj, żeby związać koniec z końcem, haruje się od świtu do zmierzchu. Nie ma nikogo, poza inwentarzem, na kim można by wyładować frustracje ekonomiczne i seksualne. Ale czasami trafia się jakiś zabłąkany rowerzysta szukający noclegu. Pamiętasz ten pensjonat w Crosshaven, pokoje ze śniadaniem? I trzy trupy upchnięte w kredensie?

Katie uniosła dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed deszczem.

– Sama nie wiem. Ale nie sądzę, żeby tutaj stało się coś

podobnego. Nie wykluczam tego całkowicie, wietrzę jednak jakąś zupełnie inną, bardzo mroczną historię. Weź pod uwagę sposób, w jaki te szkielety są wymieszane. Można odnieść wrażenie, że ciała, zanim je zakopano, zostały porozrywane.

Ostony z niebieskiego plastiku otaczające wykop zostały rozświetlone jaskrawymi błyskami. Do pracy przystąpił fotograf, a po chwili szczątkami zajął się zespół techników i lekarzy sądowych. Najpierw przystąpiono do oznaczenia pozycji poszczególnych czaszek i klatek piersiowych.

Jeden z członków zespołu podniósł kość udową. Okazało się, że coś z niej zwisa. Po chwili nachylił się i podniósł kolejną, potem jeszcze jedną i następną... Przez jakiś czas przypatrywał się im, po czym podszedł do Katie.

– Pani komisarz? Proszę tylko na to zerknąć.

Włożyła gumową rękawiczkę i wzięła do ręki jedną z kości. Na górnym końcu, w części stawowej, znajdowała się mała dziurka, a przez otwór przeciągnięto krótki zatłuszczony szpagat. Na końcu szpagatu przywiązana była figurka, jakby lalka, zrobiona ze szmat, z powtykanymi sześcioma lub siedmioma zardzewiałymi gwoździami i haczykami. Wszystkie kości udowe ktoś przewiercił w taki sam sposób. Do każdej doczepiona była identyczna mała szmaciana laleczka.

– No i co o tym sądzisz, Liam? – zapytała Katie. – Widziałeś kiedyś coś takiego?

Liam uważnie przyjrzał się małej figurce i pokręcił głową.

– Nigdy. Wygląda jak laleczka voodoo, prawda? Taka, co to wbija się w nią szpilki, żeby się na kimś zemścić.

– Voodoo? W Knocknadeenly?

Technik wziął kość i wrócił do pracy.

– Nie wiem, co tu się stało, Liam – powiedziała Katie. – Ale z pewnością było to coś bardzo dziwnego.

W tym momencie podszedł do niej John i zapytał:

– Może napije się pani czegoś, pani komisarz?

– Dziękuję, chętnie wypiję herbatę – odparła, chociaż, wiele dałaby w tej chwili za podwójną wódkę. – Bez mleka

i bez cukru.

- A pan, inspektorze?
- Poproszę herbatę z potrójnym cukrem. I będę wdzięczny, jeśli pan nie zamiesza. Bardzo lubię tę słodką resztkę na dnie szklanki.

• • •

Stopniowo od zachodu zaczęło się przejaśniać i wkrótce farmę oświetliły jakby rozwodnione, szarawe promienie słońca. Katie weszła do domu, żeby porozmawiać z matką Johna. Pani Meagher siedziała w salonie, w zielonym rozpinanym swetrze narzuconym na ramiona. Oglądała *Fair City* w telewizji i głaskała psa. Na stole obok niej znajdowała się duża, oprawiona w ramkę fotografia siwowłosego mężczyzny, wyglądającego tak, jak zapewne będzie wyglądał John za dwadzieścia lat. Obok stała pusta filiżanka po herbacie i popielniczka pełna niedopałków.

- Muszę pani zadać kilka pytań, pani Meagher.
- Och, naprawdę? – zdziwiła się matka Johna. Nie oderwała wzroku od ekranu telewizora.
- Czy ma pani coś przeciwko temu, że usiądę?
- Proszę usiąść, ale najpierw niech pani zdejmie ten mokry płaszcz.
- Oczywiście. – Katie zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i przewiesiła go przez oparcie drewnianego krzesła stojącego za drzwiami. Pod płaszczem miała ładny szary kostium i bluzkę w kolorze miedzi, niemal identycznym jak jej włosy. Usiadła naprzeciwko gospodyni, która nie przerwała oglądania opery mydlanej. Salon pachniał wilgocią, jedzeniem i lawendowym płynem do polerowania mebli.
- Do tej pory odkryliśmy szczątki ośmiu ludzi, a wygląda na to, że może być ich więcej.
- Panie, świeć nad ich duszami.
- Czy podejrzewa pani, kto ich tutaj pochował?
- Hm... ktoś musiał to zrobić. Sami się nie pozakopywali.
- Nie, pani Meagher. Byłabym zdziwiona, gdyby tak było.

Bardzo chciałabym wiedzieć, czy pani zmarły mąż wykonywał jakieś prace przy starej spizarni.

– Ciągle coś robił, to tu, to tam. Tutaj się pracuje bez chwili wytchnienia.

– Oczywiście. Chodzi mi jednak o to, czy kiedykolwiek odniosła pani wrażenie, że robił tu coś niezwykłego? Jakież prace budowlane? Może gdzieś kopał?

– Najświętsze serce Pana Jezusa, chyba nie wmawia mi pani, że to mój Michael zakopał tych nieszczęśników?

– Próbuję dociec, w jaki sposób i kiedy zwłoki znalazły się na terenie farmy.

– Jestem pewna, że ja tego pani nie wyjaśnię. Pochowanie tak wielu ludzi wymagałoby mnóstwa pracy, prawda? Michael nigdy nie miałby czasu na coś takiego. Zawsze powtarzał, że pracuje ciężiej niż dwa konie i osioł razem wzięte.

– Czy interesował się polityką?

– Wiem, co pani ma na myśli. Czytał „An Phoblacht”, ale nie miał czasu na politykę. Ani na żadne spotkania. Byłam w stanie wyciągać go z farmy jedynie na msze w niedziele.

– Czy miał jakichś przyjaciół, o których pani wiedziała?

– Spotykał się z kilkoma facetami w Roundy House w Ballyhooly. Czasami w czwartkowe wieczory grywał z nimi na akordeonie. To były jedyne dni, kiedy zostawiał farmę. Ale to byli słabi starzy ludzie, nie zabiliby muchy. A już na pewno nie mieliby sił, żeby pochować tych nieszczęśników.

– Czy kiedykolwiek odwiedzał go tutaj ktoś dziwny? Ktoś, kogo pani dobrze nie znała?

Pani Meagher pokręciła głową.

– Michael lubił, kiedy otaczała go rodzina, nie był jednak towarzyskim człowiekiem. Czasami bywał u nas ten gruby i nic niewarty ksiądz, ojciec Morrissey, częstowałałam go ciastem albo kanapką z szynką. Michael mawiał potem, że najchętniej rozciąłby mu brzuch, żeby odzyskać ten poczęstunek. Niełatwo było mu pogodzić się z myślą, ile ciężkiej pracy kosztował go każdy kęs zjedzony przez księdza.

– Rozumiem. Wydaje mi się, że pani mąż był raczej

surowym, trudnym człowiekiem. Nie chcę oczywiście źle o nim mówić.

Pani Meagher głośno wciągnęła powietrze przez nos.

– Miał swoje poglądy i nie dbał o to, czy są popularne. Ale nie, moja droga, wcale nie był trudniejszy od innych mężczyzn. – Powiedziała to takim tonem, jakby wszyscy mężczyźni na świecie byli absolutnie nieznośni.

– Czy kiedykolwiek uwikłał się z kimś w jakiś długotrwały spór, kłótnię?

– Co? Rzadko zamieniał z kimkolwiek pojedyncze słowo, a co tu dopiero mówić o kłótniach!

– Jeszcze jedno. Czy słyszała pani kiedyś o ludziach, którzy zaginęli w okolicy? Niekoniecznie ostatnio, ale w ogóle.

– O zaginionych ludziach? – Pani Meagher po raz pierwszy oderwała wzrok od telewizora. – Nie, nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zaginął. Oczywiście, kiedy byłam dziewczynką, matka często opowiadała nam historie o ludziach, których wróżki zabrały do Niewidzialnego Królestwa, ale mówiła to tylko po to, żeby nas postraszyć i zmusić do zjedzenia ziemniaków.

Katie uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Jeszcze jedna rzecz – odezwała się po chwili. – Czy widziała pani już kiedyś coś takiego? – Sięgnęła do kieszeni i wydobyla plastikowy woreczek przeznaczony do przechowywania dowodów rzeczowych. W środku znajdowała się mała, szara szmaciana lalka.

– Co to jest?

– Nigdy pani czegoś takiego nie widziała?

– To chyba nie najlepsza zabawka dla dziecka, prawda? Te wszystkie haczyki i tak dalej...

– Myślę, że to w ogóle nie jest zabawka, pani Meagher. Będę z panią szczerą, nie wiem, co to takiego. Byłabym wdzięczna, gdyby pani nikomu nie opowiadała, że widziała pani ten przedmiot.

– A dlaczego miałabym opowiadać?

– Po prostu uprzedzam panią na wypadek, gdyby ktoś pytał. Nikomu ani słowa, szczególnie dziennikarzom.

Pani Meagher wzięła prawie pustą paczkę papierosów Carroll i zaproponowała jednego Katie.

– Nie? Cóż, ja także nie powinnam palić, z moimi płucami... Doktor powiedział, że mam cię na jednym.

– Dlaczego pani nie rzuci?

Zapaliła papierosa i po chwili wydmuchnęła duży kłęb dymu.

– Rzucić? Na Boga, dlaczego miałabym próbować zrobić coś, o czym wiem, że mi się nigdy nie uda?